

Stanisław Balbus

Wisława Szymborska – o antropocentryzmie bez przesady

Abstract

Wisława Szymborska – On Anthropocentrism with Moderation

Wisława Szymborska often referred to the idea of anthropocentrism with an ironic distance and scepticism, seeing it as an expression of human pride and humanistic usurpation. The author discusses this theme of Szymborska's writing on the example of two poems: *Rozmowa z kamieniem* (*Conversation with a Stone*) and *Widok z ziarnkiem piasku* (*A View with a Grain of Sand*). He points at philosophic trains of thought contained in them, polemical towards the tradition of Western metaphysics and epistemology, focusing also on the question of the linguistic inaccessibility of the essence of the non-human world.

Słowa kluczowe: Wisława Szymborska, antropocentryzm, inność, epifania

Keywords: Wisława Szymborska, anthropocentrism, otherness, epiphany

Zacznę od dwóch filozoficznych truizmów. Antropocentryczny triumfalizm otwiera nowożytność Kartezjańskim *Cogito*. W nim ugruntowuje się podmiotowo-przedmiotowy porządek widzenia rzeczywistości, skąd ludzki podmiot – *cogitans* – czerpie uprawnienia do traktowania świata jako swego przedmiotu – nie tylko poznania, lecz i „urządzenia” go na własną modłę, a zatem eksploracji i eksploatacji – samemu ustawiając się już nie p o ś r ó d świata, ale w o b e c świata.

W połowie XX wieku Heidegger rozpoznaje ów humanistyczny triumfalizm jako źródło metafizycznej katastrofy, w wyniku której człowiek utracił poczucie metafizycznego zakorzenienia, zastępując świat światobrazem (*Weltbild*), którego bytowym sednem jest już nie metafizyka, lecz technika (*die Technik*, na polski tłumaczona nieraz jako „technologia”, czasem – za ang. *technicity* – jako „technicyzm”). Nowoczesność – wraz z nowoczesną filozofią – stała się, jak powiada, „planetarnie technologiczna”, co oznacza, że rozumienie istoty bytu zostało wyparte przez jego „techniczną eksploatację”, eksplorację i deworację, a człowiek, „zniewolony przez własny technicyzm”, ciągle ten stan pogłębia i poszerza, likwidując samoistność świata, wraz z sobą w tym świecie.

Heidegger pojęcia „antropocentryzmu” bodaj w ogóle nie używał, jednakże w jego dociekaniach „technologicznych” („technicystycznych”) o tę przeciwieść postawę chodzi.

W słynnym wywiadzie dla „Der Spiegla” z roku 1966 (opublikowanym tuż po jego śmierci, a więc 10 lat później), rozważając globalne konsekwencje owej postawy i w działaniu, i w myśleniu naszej epoki, wykrzyczał w pewnym momencie wręcz z rozpaczą: „Nie potrzeba w ogóle bomb atomowych, aby nas stąd wykorzeńić!”. U myśliciela tak konsekwentnie a-teistycznego tony tej samej rozpaczcy łatwo rozpoznać również w zdaniu: „Tylko Bóg mógłby nas jeszcze uratować!” (które w publikacji wywiadu umieszczono w tytule). Ale – co bardzo znamienne (choć u niego niezaskakujące) – na ludzkim padole na pomoc „nieobecnemu Bogu” – bardziej niż filozofowie – mogliby jeszcze przyjść poeci. A choćby uświadamiali nam nie więcej, jak tylko jego dojmujący brak, wystarczyłoby to, aby ożywić wyschłe źródła metafizycznego myślenia o świecie, o Byciu. Metafizycznego odczuwania Bytu (Bycia) i tym samym wszelkich istnień, w których owo Bycie się przejawia.

Od współczesnych poetów oczekuje więc filozof tego, w czym zawodzi współczesna („technicystyczna”) filozofia. To między innymi dlatego pozwoliłem sobie więc na te kilka filozoficznych truizmów, przystępując do interpretacji wierszy Wisławy Szymborskiej, nie bacząc na to, że sam Heidegger zdaje się jej doskonale obojętny.

Poezja Wisławy Szymborskiej nigdy, jak wiadomo, nie powołuje się na filozofów. Powołuje się na świat, który i filozofów niepokoi, niekoniecznie dbając o to, czy jest z nimi w zgodzie. Antropocentryzm zaś – niegdyś koroną humanizmu – od dawna ma w podejrzeniu. I jeśli z taką wnikliwością i przenikliwością pokazuje jego rozszczenia i zagrożenia, to nigdy, nawet w przybliżeniu, nie z taką dramatyczną egzaltacją, jak cytowany wyżej mędrzec ze Schwarzwaldy. Dokonuje swoich diagnoz i obserwacji za pomocą o wiele dyskretniejszych i czulszych narzędzi, z których bodaj najsprawniejszym jest jej nieporównywalna ironia. Artystyczny wdzięk, z jakim ta ironia się przejawia, nie świadczy, że poetka bagatelizuje owe zagrożenia, tak jak nie bagatelizuje przecież śmierci, gdy pisze żartobliwy z pozoru wiersz, starczający za cały filozoficzny poemat – *O śmierci bez przesady* (*Ludzie na moście*, 1986).

Antropocentryczne uzurpacje to *thema regium* niemal całej jej twórczości. Od *Wołania do Yeti* (1957) do *Chwili* (2002). Śledził tu rozwoju tego tematu i jego wariantów nie będę¹. Ograniczę się do dwóch – doskonale znanych wierszy: *Rozmowy z kamieniem* (*Sól*, 1962) i *Widoku z ziarnkiem piasku* (*Ludzie na moście*, 1986).

Rozmowę z kamieniem najchętniej rozpatrywano jako filozoficzną alegorię agnostycyzmu poetki. Dla mnie jest to starannie przeprowadzony wirtuozerski pokaz konstruowania *in statu nascendi* wielkiej poetyckiej figury antropomorfizacyjnej, w tym głównie celu, aby zdezwuuować skuteczność poznawczą, a nawet sensowność tego odwiecznego i tak doniosłego w historii poezji zabiegu, w pewnej mierze fundamentu poezji lirycznej.

Rozmowa z kamieniem nie jest wierszem alegorycznym ani filozoficzną parabolą, choć stanowi oczywiście znakomitą poetycką wykładnię poetyckiej filozofii autorki², a kamień nie jest tu alegoryczną figurą – mimo jego fikcjonalnej (w sensie retorycznym) antropomorfizacji. Jest konkretną rzeczą, milczącą wymownie, lecz pełniącą funkcję nie alegorii, ale *synekdochy*, reprezentującej dowolne otaczające człowieka „rzeczy” i w ogóle byty zewnętrzne (nie-ludzkie), dla których człowiek jako *pod-miot* rzeczywistości arbitralnie i pysznie ustala status podporządkowanych *przed-miotów*. Na ten synekdochiczny (i przez to uniwersalny) charakter swego artystycznego obrazu tekst *Rozmowy* wskazuje zupełnie wprost:

– Jeśli mi nie wierzysz – mówi kamień –
zwróć się do liścia, powie to, co ja.
Do kropli wody, powie to, co liść.
Na koniec spytaj włosa z własnej głowy.

I poetka faktycznie pod podobne adresy później wielokrotnie się udaje. Sprawdza wiarygodność kamiennej lekcji choćby w *Jabłonce* (*Wielka liczba*, 1976)³ czy w *Milczeniu roślin* (*Chwila*, 2002; pierwodruk książkowy w wyborze *Widok z ziarnkiem piasku*, 1997). Bogatsza w doświadczenie, nie puka jednak więcej do nieistniejących drzwi tych „innobyków” ani nie próbuje uciekać się do ich eksperymentalnej antropomorfizacji. Poprzestaje na konstatacji (i kontemplacji) milczącej i dojmującej *obecności* rzeczy i korzysta z możliwości *poświadczenia* *swjej współobecności*, współistnienia z nimi w tej samej bytowej przestrzeni, co jednak w konse-

¹ Po napisaniu pierwszej wersji tego artykułu (wygłoszonej na konferencji poświęconej Wisławie Szymborskiej, zorganizowanej przez fundację jej imienia w październiku 2016 r.) uświadomiłem sobie, że stworzył on „interpretacyjny tryptyk” z dwiema moimi wcześniejszymi rozprawami na ten sam temat: „*Jesteś tylko jedną z rzeczy wielu*” („*Ja*” wobec rzeczy w poezji Szymborskiej) [w:] *Człowiek i rzecz. O problemach reifikacji w literaturze, filozofii i sztuce*, red. S. Wyślouch, B. Kaniewska, Poznań 1999, s. 125–147; oraz *Piękna niepojęta* (*Epistemologia jabłonki*), „Przestrzenie Teorii” 2006, nr 6, s. 143–190.

² Obszerniej omówiłem ten wiersz w rozprawie „*Jesteś tylko jedną z rzeczy wielu*”...

³ Na ten temat w rozprawie *Piękna niepojęta*...

kwencji zmusza ją do przebudowy obrazu przestrzeni świata l u d z k i e g o (posiadającej wszak w świecie post-kartezjańskim status wyjątkowy).

Po mniej więcej 25 latach od *Rozmowy z kamieniem* znajduje się więc w tej na nowo odkrywanej przestrzeni wraz z jedną z (przysłowiowo nawet) elementarnych drobin istnienia, wprost od kamienia pochodnych i tej samej co on – nie tylko fizycznej, lecz i „metafizycznej” – natury, jasno w tamtej rozmowie nazwanej:

Nawet rozbite na części
będziemy szczelnie zamknięte.
Nawet starte na piasek
nie wpuścimy nikogo.

„Molekuła” kamienia, ziarnko piasku – w przeciwieństwie do dawnego kamienia (który musiał być co najmniej skałą) – nie objawia wobec poetki żadnej niechęci; nie odpycha jej, jak tamten, nie wyśmiewa, nie przepędza. Nie dlatego, że jest tylko mikrokamieniem; dlatego po prostu, że poetka w najmniejszym nawet stopniu nie próbuje go antropomorfizować. Ziarnko piasku po prostu j e s t. Tuż obok. Współobecne. Ale obojętne na nazwy i kategoriaлизację ludzkiego języka, czyli na próby jego kwalifikacji, ponieważ poetka wie już, że takie kwalifikacje i idące za nimi nazwania nie dotyczą suwerennej istoty rzeczy, a jedynie wciągają je w przypadkowy dla nich obszar przestrzeni ludzkiej, do której bytowo (metafizycznie) nie należą:

Zwiemy je ziarnkiem piasku.
A ono siebie ani ziarnkiem, ani piasku.
Obywa się bez nazwy
ogólnej, szczegółowej,
przelotnej, trwałej,
mylnej czy właściwej.

Na nic mu nasze spojrzenie, dotknięcie.
Nie czuje się ujrzone i dotknięte.
A to, że spadło na parapet okna,
to tylko nasza, nie jego przygoda.
Dla niego to to samo, co spaść na cokolwiek,
bez pewności, czy spadło już,
czy spada jeszcze.

Z okna jest piękny widok na jezioro,
ale ten widok sam siebie nie widzi.
Bezbarwnie i bezkształtnie,
bezglśnie, bezwonne
i bezboleśnie jest mu na tym świecie.

Bezdenne dnu jeziora
i bezbrzeżnie brzegom.
Nie mokro ani sucho jego wodzie.

Nie pojedynczo ani mnogo falom,
co szumią głuche na swój własny szum
wokół nie małych, nie dużych kamieni.

Ziarnko piasku nie daje się z zewnątrz wysławić, a samo milczy jak kamień, tyle że tamten poetycki kamień sprzed ćwierćwiecza milczał, by tak rzec, okrężnie, milczał – paradoksalnie – za pomocą imputowanych mu antropomorficznie słów poetki. Tutaj milczenie jest czyste, a przez to jeszcze bardziej wymowne. Mówi ono – tyle że już nie słownie (więc na przekór mowie, bez jej pośrednictwa) – „to samo, co kamień”: że ziarnko piasku j e s t ; i że jest na zewnątrz postrzegającego podmiotu, a więc i na zewnątrz kosmicznej enklawy świata ludzkiego (czyli – powie w ostatnim słowie wiersza Szymborska – w świecie „niehumanicznym”, co znaczy u niej: i „nie z tego świata”, i „dramatycznie niepojętym”, „wbrew człowiekowi”)⁴. Jest na pewno i – by posłużyć się formułą autorki z innego wiersza – choć tylko tak małe, że będące małą częścią czegoś („prawie że pół czegoś”), to „jednak jest całością od innych nie gorszą”⁵.

Muszę uściślić pierwsze zdanie poprzedniego akapitu. Ziarnko piasku nie tyle n i e p o z w a l a się z zewnątrz wysławić (bo obojętne jest na jakiegokolwiek intencjonalne wobec siebie akty), ile n i e p o d l e g a wysłowieniu, tak jak nie podlega w żadnym stopniu jakiegokolwiek empatii: „nie czuję się ujrzone i dotknięte”. Ostatnie słowo tworzy kalambur, czyli znaczy podwójnie: dotknięte ręką czy wzrokiem, a także dotknięte naszą natrętną, wścibską dociekliwością. Ziarnko nie czuje się „zadrażnione”, „zranione”, bowiem „samo w sobie”, „jako takie” bytuje poza relacjami podmiotowo-przedmiotowymi czy dokładniej – podmiotowo-przedmiotowym porządkiem świata, bez którego człowiek – i jego język – obejść się nie potrafi. Jest ono rzeczą, ale nie jest („nie chce być”) przedmiotem, nie poddaje się żadnej utartej literacko-konwencji u-słowienia, narzucenia mu umownej roli bytu wypowiadającego na zasadzie retorycznej *eidolopoi* swoje antropomorficzne *votum separatum*, jak niegdyś kamień, bo wszak, jak widzieliśmy w tamtym wierszu, konwencja taka niszczy samą siebie.

Sedno problemu tkwi tutaj w samej naturze języka. „Niedotykalność”, także niedotykalność lingwistyczna zamkniętej w sobie krzemowej drobiny Bytu, znaczy tu przede wszystkim, że każda „obiektywna” próba opisu tej drobiny, z konieczności posługująca się nieuchronnie podmiotową perspektywą czyjejś mowy i semantycznych paradygmatów systemu językowego, już nawet najprostsza predykcja atrybutywna, przypisująca rzeczy jakieś określone właściwości, musiałaby ją na modłę ludzką określać, wyodrębnić, ustanawiać, nazywać. Przyjęcie takiej – dla drobiny piasku „z natury” obcej – perspektywy arbitralnie narzuca na nią siatkę ludzkich kategoryzacji; taka zaś

⁴ Por. np. w wierszu *Komedyjki (Koniec i początek, 1993)*: Aniołowie, „jeśli są”, to „w przerwach od swoich zajęć / anielskich czyli niehumanicznych / przypatrują się...”.

⁵ W. Szymborska, *Tarsjusz (Sto pociech, 1967)*.

siatka semantyczna stanowi charakterystykę tego, kto nią włada, a nie tego, wobec czego ją stosuje. Jak powiada taoistyczna mądrość: palec wskazujący na księżyc nie ma w sobie nic z księżyca.

Już na elementarnym poziomie słownym wiersza dzieje się zatem tak, jakby w odpowiedzi na każdą atrybutywną kategorię „ludzkiego” języka, która ma za zadanie uchwycić jakąś cząstkę, jakąś cechę sposobu istnienia ziarnka piasku, trzymało ono w gotowości kategorię własną, konsekwentnie nieujawnianą, bo absolutnie nieadekwatną, nieprzetłumaczalną na „ludzki język”, o której absolutnie nie wiadomo, j a k a jest, gdyż wiadomo tylko, że jest a b s o l u t n i e i n n a; że właściwie nie jest żadną kategorią o jakkolwiek zdefiniowanym zakresie i ustabilizowanej zawartości znaczeniowej, nie jest więc „kategorią” z definicji. Jedynym jej odpowiednikiem w nieuchronnie i niezbywalnie kategoriałnym języku ludzkim może być co najwyżej czysta biegunowa negacja, roztopiająca się ostatecznie w „bezgranicznej” ogólności, bo nie-do-ogarnięcia nawet przez pojęcia, by tak rzec, odwrotnie adekwatne, jak np. „barwny” – „bezbarny”, „wonny – bezwonny”, „jakiegoś kształtu” – „bezkształtny”. „Barwny” pozostaje wszak zawsze „jakoś barwny” („wielobarwny” lub choćby „barwy nieokreślonej”); „bezbarny” jest „n i j a k” barwny, barwa go „w żaden sposób nie dotyczy”; czyli znajdujący się poza doświadczeniem wzrokowym, poza pojęciem widzialności, a nawet „przeźroczystości” (czego język potoczny skądinąd nie przyjmuje do wiadomości, i to bynajmniej nie na zasadzie rzeczywistego doświadczenia, ale „zdrowego rozsądku”, „zdroworozsądkowo” każąc bezbarwnym nazywać przeźroczyste). Pojęcie barwy istnieje w świecie ludzkim, gdyż jest funkcją wzroku; w świecie „rzeczy” występuje jedynie zmienna częstotliwość odbicia drgań falowych światła, niezależna od tego, czy jest przez kogokolwiek spostrzegana jako realizacja barwna, czy nie. To rzeczowa wiedza elementarna, język potocznego kontaktu nie przyjmuje jej jednak do wiadomości, tak jak i potoczny zdrowy rozsądek; w większym jeszcze stopniu nie przyjmuje jej do wiadomości tradycyjny język poetycki, opierający swoją semantykę na obrazopodobnych figurach antropocentrycznych.

Gdyby Szymborska w swoim wierszu próbowała obrazowo przybliżyć „bez-barwność” „widoku z okna”, który „sam siebie nie widzi”, musiałaby to być czerń absolutna, oznaczająca wygaszenie wszelkich drgań świetlnych, dla ludzkiego doświadczenia wzrokowego w ogóle niedostępna, której „występujące w przyrodzie” wzrokowe namiastki odbierane są wszakże zawsze – paradoksalnie – jako barwa najbardziej wyrazista. Chyba właśnie dlatego poetka tego nie robi; pozwala nam (prawdopodobnie) bez-barwność wyobrażać sobie, „po ludzku” – jako „pełną przeźroczystość” (faktycznie będącą – jak biel – syntezą wszystkich kolorów), co zdroworozsądkowo (i językowo!) znaczy przecież tak czy inaczej: niewidoczność. „Bezbarwność” mieści się więc w „widoku” tego wiersza całkowicie poza kolorystycznym polem pojęciowym. I tym samym p o z a w s z e l k i m w i d o k i e m. „Bezkształtność” nie jest niekształtnością, czyli kształtem nieujmowalnym geometrycznie, lecz

brakiem wszelkiego kształtu, czyli jakiegokolwiek formy przestrzennej, oznacza po prostu bezprzestrzenność, empiryczny niebyt (analogicznie rzecz ma się z bezgłośnością, „bezwonnością” itd.).

Dotyczy to zarówno pojęć ogólnych, jak i ich wewnętrznych taksonomii, kwalifikacji, podziałów, uporządkowań. Nazwie odpowiada brak jakiegokolwiek nazwy, dotykowi – nie-dotyk, spadania nie tylko nie obowiązuje tutaj żaden kierunek przestrzenny (góra – dół), lecz także nadrzędna wobec niego kategoria czasowości ruchu, jego ciągłości i (tutaj) skończoności. Fraza „bez pewności, czy spadło już, czy spada jeszcze” usuwa opozycję: ruch – spoczynek, likwidując w ten sposób nawet samo pojęcie ruchu.

Taka semantyczna anihilacja jeszcze bardziej dotyczy ograniczeń (czyli i definicji) przestrzennych („bezbrzeżnie brzegom”) i czasowych (trzy sekundy „to tylko n a s z e trzy sekundy”), policzalności, jednolitości i różnorodności, kształtów, wielkości, stanów skupienia materii („nie mokro ani sucho wodzie”), a także wskazanych przed chwilą wtórnych (pozornych) właściwości rzeczy, wynikających z podmiotowych parametrów poznawczych naszych aktów zmysłowych (czyli nas samych), a nie samoistnych przedmiotów tych aktów, czyli „istoty rzeczy” (fale „szumią głuche na swój szum”, „widok sam siebie nie widzi”). Nade wszystko wszakże dotyka ona kwalifikacji aksjologicznych, na przykład estetycznych („p i ę k n y widok... sam siebie nie widzi”).

Punkt wyjścia tych „rewizyjnych” zabiegów poetki stanowi więc – co w poezji oczywiste – sam język. Od pierwszego wersu zachodzi tu podważanie podstawowych kompetencji (i adekwatności) nazywania. Semantyka naszego języka naturalnego ukształtowała się w podmiotowo-przedmiotowym ujmowaniu świata przez człowieka, słowo jest zatem rzeczom narzucone, a nie z nich wywiedzione: „Zwiemy je ziarnkiem piasku, a ono samo ani ziarnkiem, ani piasku. Obywa się bez nazwy”.

Dalszy ciąg początku wiersza, czyli cała jego pierwsza strofa przeradza się niezauważalnie w subtelną parodię podręcznika językoznawczego, ustalającego ścisłą i wyczerpującą taksonomię semantyczną nazw, która w rezultacie prowadzi do sprytnie przez poetkę zamaskowanego wewnętrznego absurdu. Kwalifikacje rodzajów nazw zostały ujęte w terminologiczne pary, których człony dokładnie się nawzajem wykluczają i wzajemnie anihilują, odbierając „obiektywny” sens jakimkolwiek nazywaniu, więc i wszelkiej „ludzkiej” „semantycy lingwistycznej”. Nazwy, jakie ta semantyka miałaby do dyspozycji, nie są tu ani „przelotne”, ani „trwałe”; ani „ogólne”, ani „szczegółowe”; ani „myślne”, ani „właściwe”. Krótko mówiąc, jako nazw w ogóle ich nie ma.

Druga strofa przenosi ów „lingwistyczny” zabieg w sferę, by tak rzec, empatii poznawczej, dotyczącej samego „ziarenka piasku”, i przekazuje go (z poszerzającymi perspektywę „widoku” modyfikacjami) trzem strofom następnym. Nie trzeba wielkiej wnikliwości, aby dostrzec, że cały ten opis opiera się na serii samoznających się antropomorfizacji, zakwestionowanych jako podmiotowe mistyfikacje już w *Rozmowie z kamieniem*.

W drugiej strofie poetka powiada właściwie wprost, że cała ta rzekoma próba ujęcia „pięknego widoku” z pozorowanej optyki ziarnka piasku (w poetyce narracji epickiej nazywa się ten zabieg „opowiadaniem z perspektywy jednopostaciowej”) jest w istocie rzeczy jedynie semantyczno-narracyjną i czysto subiektywną awanturą „quasi-epistemiczną”: „to, że [ziarnko piasku – S.B.] padło na parapet okna, to tylko nasza, nie jego przygoda”. Demaskacja uzurpacji antropomorfizacyjnych odbywa się więc tutaj – w przeciwieństwie do *Rozmowy z kamieniem* – wprost i *in statu nascendi*, przez jawne „opatrzenie znakiem minus” terminów antropomorfizacyjnych albo wyrażań empatycznych (ziarnko piasku „nie czuje się ujrane i dotknięte”).

Oto zasadniczy paradoks epistemologiczny tego, zdawałoby się, nader prostego wiersza. Zmysłowo postrzegalne ziarnko piasku faktycznie (i ejdeycznie) pozostaje dla poetki (czyli dla nas) doskonale nieuchwytnie. Na naszych oczach pełnej dewaluacji ulegają poznawczo-językowe narzędzia jego uchwycenia.

Taką – generalnie rzecz ujmując – motywację posiadają tu liczne figury językowe, które na pierwszy, nieuważny rzut oka mogą wydać się o k s y m o r o n a m i, a które określiłbym jako n e g a t y w n e t a u t o l o g i e, oparte wbrew pozorom nie na oksymoronie, czyli na wewnętrznej sprzeczności, ale na samoanihilacji semantycznej. Z punktu widzenia logiki są to n e g a c j e a l t e r n a t y w albo inaczej b i n e g a c j e; polegają one na zaprzeczeniu obydwu alternatywnych terminów, czyli tutaj – w rezultacie – wykluczeniu prawdziwości jakiegokolwiek kwalifikacji (kategorializacji) oznaczanych zjawisk, jako że pomiędzy obydwoma zanegowanymi terminami istnieją potencjalnie w s z y s t k i e możliwe kwalifikacje tych zjawisk. Jest tak po prostu dlatego, że alternatywy w tym wierszu zestawiają skrajne, biegunowe (zatem zmaksymalizowane) możliwości kwalifikacyjne. Przecząc obu biegunom, przeczy się wszystkiemu, co się między nimi znajduje, gdyż *tertium non datur*. Jest tak, jakby nazywany przedmiot nie posiadał ż a d n y c h właściwości: ani takich, które konstytuują jego istotę, ani nawet takich (przeciwstawnych), które przekształcają go w jego przeciwieństwo, w jakiś „antyprzedmiot”. W ostatecznym więc rezultacie zabieg ów przekształca przedmiot w „zero tego przedmiotu”, w czysty niebyt: „nie mokro ani sucho wodzie”, „nie pojedynczo ani mnogo jego falom”, „nazwa ani ogólna, ani szczególna”.

Postępując tą drogą, dochodzi poetka do określeń oksymoronicznych, opartych nie na prostych antonimach, ale na negatywnych tautologiach (spotęgowanych jeszcze przez słowotwórcze paronomazje); likwidują one jak gdyby „obiektywną realność” wyodrębnianych przez język kategorii, mających odpowiadać poszczególnym „bytom”: „bezdennie dnu jeziora i bezbrzeżnie brzegom”, „pod niebem z natury bezniebnym”, „zachodzi nie zachodząc”.

Zabieg ten nie podważa istnienia przedmiotów i zjawisk, kwestionuje natomiast prawomocność językowej kategorializacji i atrybucji w kręgu antropocentrycznym faktów spoza świata ludzkiego, kwestionuje antropocentryczną naturę języka. Ta jednak w ujęciu poetki wynika przecież z zasadniczych

– „planetarnych” – ograniczeń kondycji ludzkiej, o której nasz język każe nam zapominać, a poetka – dyskretnie i z subtelną ironią – właśnie (pod sam koniec tego wiersza) przypomina. Nasze niebieskie niebo jest wszak naprawdę „z natury bezniebne”, gdyż faktycznie jest bezbrzeżną, czarną przestrzenią międzygwiazdową, a zachodzące słońce w tej jedynie realnej perspektywie „nie zachodzi wcale”. Warto przypomnieć, że na tej „astronomicznej oczywistości” zbuduje poetka niebawem w całości jeden z najwspanialszych swoich wierszy – *Niebo* z tomu *Koniec i początek* (1993).

Widok z ziarnkiem piasku, podobnie jak *Rozmowa z kamieniem*, również nie jest ontologiczną ani epistemologiczną alegorią; co więcej – o ile w *Rozmowie* można by się ostatecznie doszukać podstaw do oględnej interpretacji symbolicznej, tutaj takie próby wiodłyby zdecydowanie na manowce. Główny bohater, ziarnko piasku, nie jest symbolem nawet w rozumieniu semiotycznym. Będąc – jako trop – synekdochą, a nie metaforą, jako znak powinno być uznane za prosty symptom, indeks wielkiej, n i e o g r a n i c z o n e j c a ł o ś c i, którą na zasadzie *pars pro toto* wskazuje i reprezentuje. Reprezentuje Byt, Byt jako taki. Rozpościerający się poza zasięgiem jakiegokolwiek „ja” i od żadnego „ja” ludzkiego w swej istocie niezawisły. Jego mikroistnienie oznajmia samo w sobie to, co wspomniany tu na samym początku dwudziestowieczny myśliciel nazywa „cudem nad cudzy: że byt jest”.

I taka właśnie perspektywa, taki w i d o k na ogromne bytowe obszary otwiera się przed poetką, gdy w swym bliskim polu widzenia umiejscawia ziarenko piasku, okazując szacunek jego całkowitej rzeczowej suwerenności, to znaczy starając się go nie uprzedmiotowić. I – jak się z wolna zaczyna okazywać – jest to perspektywa o horyzontach – w potocznym rozumieniu tego pojęcia – metafizycznych, sięgająca bowiem ostatecznie granic obszarów rzeczywistości osiągalnej empirycznie, a więc transcendentalnych, przy czym nawet na poziomie językowych przybliżeń figuratywnych wiersz nie próbuje oczywiście owych granic przekraczać, uchyla jedynie furtkę metafizycznej interpretacji (w rozumieniu ontologicznej refleksji nad bytem „nie-upodmiotowionym”, nad Bytem jako takim).

Tekst wiersza – widzenie jego „świata przedstawionego”, gdzie „centrum wyjściowe” stanowi ziarnko piasku – otwiera tę perspektywę prawie chyłkiem, powoli, stopniowo, niemal niezauważalnie, ale bardzo konsekwentnie poszerzając obszar widoku, aż wobec narastającego ogromu coraz dalszych odsłaniających się kolejno widoków na „całość” niknie w nim samo ziarnko piasku, przy czym przy każdej „odsłonie” poetka ma na uwadze prawie wyłącznie niepodległy myśleniu antropomorficznemu status ontologiczny „rzeczy”, ich przyrodzoną, pierwotną „nieludzkość”, pozapojęciowość, a w istocie – pozajęzykowość, czyli niepodatność na ujęzykowanie.

Za każdym razem ponawiane próby takiego ujęzykowania, samego nazwania „widoku” (nie mówię tu o nazwaniach interpretacyjnych, wyjaśniających) przedstawiają się w wierszu albo jako chybione usiłowania antropomor-

fizycyjne, albo jako nominalistyczne językowe sztuczki: nazwom „ludzkiego języka” w świecie tego wiersza zdaje się nic w istocie nie odpowiadać.

Owo metafizyczne ukierunkowanie widzenia (w ostateczności na bytową „całość”, w istocie zaś na nieskończoność, a przynajmniej na nieograniczoność bytu) demonstruje wiersz, począwszy od trzeciej strofy („Z okna jest piękny widok na jezioro”), za pomocą szczególnego rodzaju dynamicznego tropu, złożonej figury retorycznej *in crescentia* – jakby „odjazdu kamery” lub swego rodzaju „widoku rozkwitającego”: od ziarnka piasku do wszechświata.

Najpierw wzrok (i uwaga) skupia się na wyizolowanej mineralnej drobince i w tym skupieniu poetka rozważa (aż w ośmiu wersach) możliwości „realnego” ujętowania tej drobinki. W wersie dziewiątym widok się poszerza: ziarnko piasku leży na parapecie okna; okno – zgodnie ze swoją, także symboliczną przeciwieństwem, naturą *o t w i e r a* widok na zewnątrz, „w świat” (dalszy ciąg uwag językowo-semantycznych zajmuje tu cztery wersy). Potem mamy (ciągle z dostawianymi „komentarzami lingwistycznymi”) świat za oknem (czyli na zewnątrz intymnej przestrzeni „ja”, gdzie ono jeszcze czuje się „u siebie”, w domu, „w środku”). Pojawia się pejzaż, najpierw bliski, bo osiągalna na wielorakie proste sposoby przestrzeń potocznego doświadczenia: jezioro, jego brzegi, fale, kamienie nadbrzeżne. I nagle, niespodzianie pojawia się, w tym *w i d o k u* element niewidoczny, stwierdzalny z oczywistością, lecz w danej chwili tylko domyślnie: dno jeziora.

W następnych „odsłonach” wyłaniają się stopniowo „widoki” coraz odleglejsze, coraz mniej bezpośrednio dostępne, w coraz bardziej ograniczonym stopniu „dotykalne”, ale jeszcze „dobrze widzialne”, acz faktycznie widzialne złudnie. Najpierw więc – co bardzo ważne – niebo jest oczywistym, pełnym tłem widoku, granicą horyzontu, zatem pozornie empiryczną granicą widzenia. Zgodnie z tradycją (również wyobrazeniową) występuje ono także w roli granicy Ziemi i Kosmosu, przede wszystkim zaś – konwencjonalnej granicy świata empirycznego, ludzkiego świata materialnego oraz „świata niewidzialnego”, „tamtego świata”, oddzielając zatem wymiar „fizyczny” od „meta-fizycznego”. W ziemskim – empirycznym, pejzażowym tle nieba – zachodzi słońce, chmura je przysłania. Empiria to, by tak rzec, zmysłowo stwierdzalna, lecz praktycznie niedostępna, będąca bowiem złudzeniem empirycznym, o czym powyżej, w nieco innym kontekście, pisałem.

Dopiero w dwudziestym ósmym wersie widok przekracza obszar widzialności; osiąga „jak gdyby” granicę umownej „materialności: zaczyna wiać – jeszcze mniej uchwytnej niż (przysłowiowo przeciwieństwem nieuchwytna) chmura – wiatr. Ale wiatr nieodczuwany już bezpośrednio, a jedynie „domyślny” na podstawie zachowania odległej chmury; czyli już nie żaden „przedmiot”, nawet nie niby-przedmiot, a jedynie zjawisko będące pochodną ruchu powietrza, materii całkowicie bezkształtnej i nieokreślonej, nieumiejscowionej, przysłowiowo „nieobecnej”, „przeźroczyściej”, czyli „niewidzialnej”, więc niemal abstrakcja, bo niemal czysty ruch; „nie-widok” w obrębie „widoku”.

I wreszcie – na końcu – c z a s. Wprowadzony zrazu jako prosta miara długości obserwacji, a więc najpierw jako parametr percepcyjnego aktu p o d m i o t o w e g o, przynależny zatem do „ja”, nie zaś do przedmiotu tego aktu. I dopiero wtórnice (bo wszak za pomocą ostentacyjnego zabiegu figuratywnego) wprowadzony do wewnątrz samego „widoku” jako uniwersalny, podstawowy w ludzkich wyobrażeniach i rozumieniu parametr wszelkiego istnienia, który natychmiast – z „niehumanitarnej” perspektywy ziarenka piasku – zostaje zakwestionowany, okazuje się bowiem ograniczoną przez antropomorficzne uzurpacje i tym samym zmistyfikowaną nieskończonością („wiecznością”) wszechświata – Bytu jako takiego.

W samym zakończeniu wiersza zdaje się poetka tę myśl wypowiadać dwukrotnie, jakby z uporczywym naciskiem, za każdym razem w inny sposób. Najpierw czyni to najprostszym językiem lapidarnej perswazji:

Mija jedna sekunda.
 Druga sekunda.
 Trzecia sekunda.
 Ale to tylko nasze trzy sekundy.

Potem wypowiada pozornie całkiem to samo, tyle że w poetyckiej mowie metaforycznej:

Czas przebiegł jak posłaniec z pilną wiadomością.
 Ale to tylko nasze porównanie.
 Zmyślona postać, wzmówiony jej pośpiech,
 a wiadomość niehumanitarnej.

Drugi cytat nie jest bynajmniej poetycką parafrazą pierwszego, choć tak na pierwszy rzut oka wygląda i poetce bodaj bardzo zależy na tym, żeby to tak na pierwszy rzut oka wyglądało. W istocie – faktycznie powtarzając poniekąd myśl poprzednią – kryje ów obraz w sobie znacznie więcej, i kryje może nawet niezbyt głęboko, raczej – przynajmniej z początku – bawi się w ukrywanie; rozpoczyna retoryczną grę z retoryczną konwencją, aby ją zdezwauować, a potem podjąć grę także i z tą dezawuacją.

Ziarenko piasku, rzecz, „innobyt”, otwiera więc ostatecznie perspektywę metafizyczną (w sensie ontologicznym, nie teologicznym), ale „ja” ludzkie wewnątrz tej perspektywy nie uczestniczy. Doświadcza jej epifanicznie, ale nie *współ*-uczestniczy, skrępowane własną antropocentryczną epistemologią i antropomorfizującymi kategoryzacjami języka używanego do opisu zjawisk, a więc tym samym, czym samo siebie oddzieliło od Całości, chcąc ją sobie podporządkować. Owo „ja”, kontemplując teraz poszerzające się kręgi fragmentów najbliższego otoczenia ziarenka piasku (co samo w sobie jest wysoce ironicznym konceptem epistemologicznym autorki), dopiero teraz z lekka zdaje się doznawać niejasnego odczucia (czy prze-czucia) o b e c n o ś c i owej całości, przeczucia czy poczucia i n n o ś c i nieobjętych obszarów bytu,

przy których spoczywająca tuż obok, dotykalna drobina jest właściwie niewiele mniej odległa i niepojęta niż cała reszta „widoku”, czyli wszechświata.

Dzięki takiej epifanii, epifanii rzeczy i epifanii domysłu Całości w akcie kontemplacji rzeczy, „ja” ludzkie wprowadza własną, antropocentryczną perspektywę przynajmniej w s ą s i e d z t w o tamtej, całościowej perspektywy, którą otwiera ziarnko piasku. „Ja” ludzkie sytuuje siebie w tej samej (acz „jakościowo”, „znaczeniowo” nie t a k i e j s a m e j) przestrzeni bytu i dzięki temu tworzy sobie drobne szczeliny, dostrzega prześwity, dające mu choćby niejasny i dorywczo fragmentaryczny wgląd w uniwersalny, „czyli nieludzki” (bo z gruntu pozaludzki) „Widok”, otwarty na wszechświat, nieograniczony antropocentrycznie skonstruowaną ontologią i aksjologią – a choćby tylko przeczucie takiego wglądu, uczestnictwa w takim „widoku”.

Jeśli ten wiersz rozbłyska metafizyczną epifanią (a dla mnie rozbłyska), to nie dlatego, że poetka wdziera się w głąb rzeczy, w ich wewnętrzną tajemnicę, ale dlatego, że staje p r z y rzeczy, obok niej, w r a z z nią – przyjmując jej „nieludzką” perspektywę. Perspektywą ziarenka piasku jest widok na wszechświat za oknem naszego domu.

Bibliografia

- Balbus S., „*Jesteś tylko jedną z rzeczy wielu*” („Ja” wobec rzeczy w poezji Szymborskiej) [w:] *Człowiek i rzecz. O problemach reifikacji w literaturze, filozofii i sztuce*, red. S. Wysłouch, B. Kaniewska, Poznań 1999.
- Balbus S., *Piękna niepojęta (Epistemologia jablonki)*, „Przestrzenie Teorii” 2006, nr 6.